

Clive Barker Wyścig

Czemu właściwie Vanessa nie była w stanie oprzeć się nieoznaczonej drodze; drodze, która prowadziła jeden Bóg wie gdzie? Przecież entuzjazm, z jakim wędrowała w nieznane, wystarczająco często pakował ją w kłopoty. Samotna noc w Alpach, która omal nie skończyła się fatalnie, zdarzenie w Marrakeszu, niemal uwieńczone gwałtem, wypad z uczniem połykacza noży w dżunglę dolnego Manhattanu... A jednak mimo tego, czego powinno nauczyć ją gorzkie doświadczenie, gdy tylko miała wybór między drogą oznaczoną i nieoznaczoną zawsze, bez najmniejszych wątpliwości, wybierała tę ostatnią.

Na przykład tu. Droga prowadząca zakosami ku wybrzeżu Kithnos; cóż może zdarzyć się na tej drodze oprócz nudnej jazdy wśród niskich krzaczków? Oprócz spotkania z przygodną kozą i pięknego widoku na błękitne Morze Egejskie? Taki sam widok miała z hotelu nad Zatoką Merikha i nawet nie musiała wstawać z łóżka. Lecz wszystkie drogi wychodzące z tego skrzyżowania były tak jasno oznaczone; jedna prowadziła do Luthra z jego zrujnowanym weneckim fortem, a druga do Driopis. Nie odwiedziła do tej pory żadnej z tych wiosek; słyszała, że obie są czarujące, lecz sam fakt, że na znakach były ich nazwy, sprawił, iż nie stanowiły dla niej żadnej pokusy. A ta, chociaż mogła prowadzić - i w rzeczywistości najprawdopodobniej prowadziła - nigdzie, to przynajmniej było to nie nazwane nigdzie. Niezłe referencje. A więc, napędzana czystą perwersją, Vanessa skrzyła właśnie w nią.

Krajobraz po obu stronach drogi (która szybko stawała się ścieżką) w najlepszym razie nie wyróżniał się niczym. Nie było tu nawet kóz, których się podświadomie spodziewała, lecz nędzna roślinność prawdopodobnie nie zapewniała im odpowiedniej diety. Ta wyspa nie była rajem. Nie przypominała Santorini z jej malowniczym wulkanem lub Mykonos, Sodomy, Cykladów, z przytulnymi plażami i jeszcze przytulniejszymi hotelikami. Tu nic nie przyciągało turystów. Nieco upraszczając, właśnie to przyciągnęło Vanessę; znalazła się bardzo daleko od tłumów, a dzięki tej drodze niewątpliwie oddali się od nich jeszcze bardziej.

Krzyk, który dobiegł do niej ze wzgórze, z pewnością nie został wydany po to, by go zignorować. Był to krzyk czystego strachu, który skutecznie zagłuszył-stuki' w silniku jej wynajętego samochodu. Vanessa zatrzymała gruchot i przekreśliła kluczyk w stacyjce. Po chwili znów usłyszała krzyk, po nim strzał, przerwę i drugi strzał. Bez zastanowienia otworzyła drzwi i wyszła na drogę. Powietrze przepelniał zapach lilii i dzikiego tymianku, wewnątrz samochodu całkowicie stłumiony zapachem benzyny. Odetchnęła głęboko; w tym momencie padł trzeci strzał i tymi razem dostrzegła postać - zbyt daleko by mogła ją rozpoznać, nawet gdyby był to jej mąż - wspinającą się na grzbiet jednego z pagórków i zaraz znikającą w dolince. Trzy lub cztery uderzenia serca później pojawili się ścigający. Padł kolejny strzał; Vanessa z wielką ulgą zauważyła jednak, że strzelano w powietrze a nie do uciekiniera. Próbowano go zatrzymać, nie zabić. Ścigających także nie sposób było rozpoznać. Jedynym - i bardzo groźnym - szczegółem widocznym z tej odległości były powiewające czarne szaty, otulające ich od stóp do głów.

Vanessa oparła się o samochód niepewna, czy powinna wskoczyć do środka, czy spróbować dowiedzieć się co oznacza ta zabawa w chowanego. Huk strzałów nie brzmiał szczególnie przyjaźnie, lecz czy wystarczy jej siły woli, by oprzeć się ta fascynującej tajemnicy? Ludzie w czerni znikli jak ten, który przed nimi uciekał; dziewczyna wlepiła wzrok w miejsce, w którym ich dostrzegła i ruszyła przed siebie, pochylając się i kryjąc głowę jak tylko się dało.

W tak jednostajnym terenie trudno było ocenić odległość, jeden piaszczysty pagórek do złudzenia przypominał następny. Brnęła pomiędzy niewysokimi wzgórkami przez pełne dziesięć minut nim nabrała całkowitej pewności, że ominęła miejsce w którym zginęli i uciekinier, i pogoń - a w międzyczasie zgubiła się całkowicie wśród porośniętych rzadką trawą pagórków. Krzyki i strzały dawno umilkły. Słyszała tylko skrzek mew i zdyszana dyskusję kłębiących się wokół jej stóp cykad.

- Cholera! Dlaczego właściwie bez przerwy robię coś takiego?

Wybrała największe wzgórze w okolicy i ruszyła na szczyt. Nogi grzęzły jej w piaszczystej ziemi. Chciała sprawdzić, czy z góry zobaczy ścieżkę lub chociażby morze. Gdyby udało się jej zlokalizować klify wiedziałaby mniej więcej, w którym miejscu zostawiła samochód i mogłaby pójść w tym kierunku wiedząc, że prędzej czy później dojdzie do ścieżki. Lecz pagórek nie dorastał do jej wymagań; ze szczytu dostrzegła wyłącznie, jak bardzo jest samotna. We wszystkie strony ciągnęły się podobne do siebie wzniesienia, wygrzewające boki w zachodzącym słońcu.

Zdesperowana, polizała palec i podniosła rękę zakładając, że wiatr najprawdopodobniej wieje od morza i nawet na tej niepewnej podstawie można oprzeć umysłową kartografię. Wiatru prawie nie było, ale-nie miała innej wskazówki, więc ruszyła w- stronę, w której spodziewała się znaleźć ścieżkę.

Po pięciu coraz bardziej denerwujących minutach, które spędziła włączając na pagórki i złączając z pagórków, znalazła się twarzą w twarz nie z samochodem, lecz z zespołem białych budynków, z którego wyróżniała się przysadzista wieża i, jak w koszarach, wysoki mur; obserwując teren z góry wcale go przedtem nie zauważyła. Natychmiast uświadomiła sobie, że uciekinier i jego trzech wielbicie, doprawdy przesadnie manifestujący przywiązanie, pochodzili właśnie stąd; biorąc pod uwagę tę mądrość, lepiej byłoby chyba zachować dystans. Lecz jeśli nikt nie wskaże jej drogi, może się przecież błąkać w nieskończoność po tej pustyni i nigdy nie trafić do samochodu, prawda? A poza tym budynki sprawiały wrażenie odświeżającej bezpretensjonalności. Znad jasnych ścian prześwitywały nawet liście świadczące o tym, że wewnątrz znajduje się być może mały ogród, w którym mogłaby znaleźć choćby skrawek cienia. Vanessa odwróciła się i ruszyła tam.

Do bramy z kutego żelaza dotarła kompletnie wyczerpana. Dopiero na widok miejsca gwarantującego względną wygodę zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo jest zmęczona, wędrówka przez niskie wzgórza spowodowała, że uda u łydki drżały jej tak, że nie mogła unieść ciężaru ciała.

Skrzydło wielkiej bramy stało otworem. Weszła do środka. Wewnętrzny dziedziniec był brukowany i upstrzony odchodami gołębi; winni tego stanu rzeczy siedzieli na drzewach mirtu i gruchali jej na powitanie. Z dziedzińca kilka krytych korytarzy prowadziło do prawdziwego labiryntu budynków. Z perwersją, na którą przeżyta dopiero co przygoda nie

miała żadnego wpływu, wybrała ten najmniej obiecujący, który wyprowadził ją na słońce i do przepelnionej żywicznym zapachem alejki z ustawionymi po obu stronach prostymi ławkami, a po przeciwnej stronie na mały, zamknięty dziedziniec. Słońce oświetlało jedną z jego ścian, a na ścianie, w niszy, stał posąg Maryi Dziewicy trzymającej na ręku swego osławionego syna, wznoszącego dwa palce w geście błogosławieństwa. Dopiero teraz, na widok posągu, Vanessa ułożyła sobie w głowie wszystkie elementy łamigłówek: sekretna lokalizacja, cisza, prostota dziedzińców i korytarzy... to z pewnością coś w rodzaju klasztoru!

Od szesnastego roku życia była ateistką i przez następne ćwierć wieku z rzadka przekraczała próg kościoła. Teraz, mając czterdzieści jeden lat, nie liczyła już na nawrócenie, więc poczuła się podwójnie nie na miejscu. Ale przecież nie szukała tu azylu, prawda? Tylko informacji o tym, jak dotrzeć do ścieżki. Zapyta i ruszy w drogę.

Kiedy tak szła po oświetlonych promieniami słońca kamiennych płytach, doznała tego dziwnego uczucia; z podwójną siłą uświadomiła sobie, że istnieje. Uczucie to pojawiło się zawsze wraz ze świadomością, że ktoś ją szpieguje. Pożycie z Ronaldem wyostrzyło tę zdolność w szósty zmysł. Jego szalona zazdrość, która zaledwie trzy miesiące temu zakończyła małżeństwo, doprowadziła do tego, że wypracował techniki szpiegowskie godne MI i CIA. Czują, że obserwuje ją niejedna, lecz wiele par oczu. Chociaż zerkała w wąskie okna wychodzące na dziedziniec i w jednym z nich dostrzegła nawet ruch, nikt nie wysilił się, by ją zawołać. Być może mnichów obowiązywała tu reguła milczenia, i to tak ściśle, że będzie musiała porozumiewać się z nimi językiem migowym? Cóż, niech i tak będzie.

Gdzieś, za plecami, usłyszała tupot biegnących stóp; było ich kilkanaście i zbliżały się. A z dziedzińca zabrzmiał huk zamykanej bramy. Z jakiegoś powodu serce Vanessy przyspieszyło gwałtownie, co wcale nie uszczęśliwiło krwioobiegu; zaskoczony zaatakował jej twarz. Zmęczone nogi znów zaczęły drżeć.

Obróciła się twarzą w stronę niewidocznych lecz szybko przebiegających nogami biegaczy i dostrzegła, jak kamienna twarz Dziewicy obraca się o ułamek milimetra. Jej niebieskie oczy niewątpliwie śledziły ją, gdy szła przez dziedziniec, a teraz obserwowały jak wraca. Vanessę wmurowało w ziemię. Lepiej nie uciekać, pomyślała, kiedy Matka Boska depcze ci po piętach. Zresztą z ucieczki i tak nic by jej nie przyszło, bowiem w tej właśnie chwili z cienia krużganka wyłoniły się trzy zakonnice w rozwianych habitach. Tylko brody i trzymane w rękach lśniące karabiny psuły znakomite wrażenie, jakie sprawiały te święte, poślubione Chrystusowi panny. Być może roześmiałyby się nawet z zaskoczenia, gdyby nie lufy karabinów, które nagle wycelowały wprost w jej serce.

Nikt nie próbował jej niczego wyjaśniać, ale przecież w miejscu zasiedlonym przez uzbrojonych mężczyzn przebranych za siostry zakonne zdrowy rozsądek: musiał być równie rzadki, jak perła na pustyni.

Trzy zakonnice wyprowadziły ją dziedzińca i przeszukały, bez osłonek, jakby właśnie zrównała z ziemią Watykan. Nawet nie próbowała protestować; skierowane w nią lufy nie drgnęły i w tej sytuacji posłuszeństwo wydawało się najlepszym wyjściem.

Po zakończeniu poszukiwań jedna z sióstr kazała się jej ubrać i wszystkie razem odprowadziły ją do małego pokoiku, po czym przekreślono klucz w zamku. Po małej chwili któraś zakonnica miłosiernie przyniosła jej butelkę znośnej retsiny i by uzupełnić katalog

idiotyzmów, najlepszą pizzę, jaką Vanessa kiedykolwiek jadła, oczywiście nie licząc Chicago. Zagubiona w Krainie Cudów Alicja ni mogłaby zdumieć się bardziej.

- Być może rzeczywiście popełniliśmy błąd - przyznał niechętnie mężczyzna wywoskowanych wąsikach po kilkunastu godzinach przesłuchania. Vanessie bardzo ulżyło gdy stwierdziła, że nie ma zamiaru udawać siostry przełożonej, choć tak dziwnie przebiegał swych żołnierzy. Jego gabinet - jeśli można go było tak nazwać - umeblowany był oszczędnie, a jedyny wyzywający element dekoracyjny stanowiła ludzka czaszka pozbawiona dolnej szczęki, stojąca na stole i wpatrująca się martwo w fotel dla klientów. Mężczyzna wyglądał znacznie lepiej, miał wspaniale zawiązany krawat i spodnie wyprasowane w kant ostry i śmiercionośny jak brzytwa. Vanessie wydawało się, że spod jego ostrożnego angielskiego przegląda cień akcentu. Francuskiego? Niemieckiego? Dopiero gdy mężczyzna wyciągnął z szuflady biurka czekoladę zdecydowała, że musi być Szwajcarem. Szwajcar twierdził, że nazywa się pan Klein.

- Błąd? - powtórzyła. - Do jasnej cholery, oczywiście, że popełniono błąd!

- Zlokalizowaliśmy samochód. Dzwoniliśmy do hotelu. Jak na razie zweryfikowaliśmy pani opowieść.

- Ja nie łzę! - Vanessa zaszła już z panem Kleinem poza granicę grzeczności, mimo prób przekupienia jej słodyczami. Choć nie miała zegarka przypuszczała, że musi już być późna noc; maleńki pokój, umieszczony w podziemiach kompleksu i pozbawiony okien, czynił zgadywanek niemal niemożliwą. Czas wyznaczali tylko pan Klein i jego niedożywiony Numer Drugi i tylko oni koncentrowali na sobie resztki jej uwagi.

-Cóż, jestem zadowolona, że jesteście zadowoleni. Czy teraz mogę już wrócić do hotelu? Jestem zmordowana. Klein potrząsnął głową.

- Nie. Obawiam się, że to niemożliwe.

Vanessa wstała szybko, tak gwałtownie, że na podłogę runęło z hukiem przewrócone krzesło. W sekundę później otworzyły się drzwi i stanęła w nich brodata siostrzyczka z wycelowanym pistoletem.

- Wszystko w porządku, Stanisławie - zamruczał ciepło pan Klein. - Pani Japę nie poderżnęła mi jeszcze gardła.

- Siostra Stanisław wycofała się, zamykając za sobą drzwi.

- Dlaczego? - pojawienie się strażnika rozproszyło jakoś gniew Vanessy. Dlaczego, co? - zapytał pan Klein.

- Dlaczego zakonnice?

Klein westchnął ciężko i położył dłoń na ekspresie, który przyniesiono mu całą godzinę temu; sprawdzał, czy kawa jest jeszcze ciepła. Nalał sobie pół filiżanki i dopiero wtedy odpowiedział:

- Moim prywatnym zdaniem większość z tych sztuczek jest całkowicie zbędna, pani Japę, i ma pani moje osobiste słowo, że dopilnuję by zwolniono panią najszybciej, jak to jest po ludzku możliwe. Na razie błagam o cierpliwość. Proszę myśleć o tym jak o grze. - Twarz wydłużyła mu się odrobinę. - Oni lubią gry.

-Kto?

Klein zmarszczył brwi.

-To bez znaczenia - powiedział. - Im mniej pani wie, tym mniej będzie pani musiała zapomnieć na nasze życzenie. Vanessa rzuciła czaszce złe spojrzenie.

- To wszystko nie ma sensu - powiedziała.

- I nie powinno - odparł pan Klein. Przerwał, by łyknąć letniej kawy. -Popelniła pani pożałowania godny błąd pojawiając się tutaj, pani Japę. I my popełniliśmy błąd, pozwalając pani tu wejść. Zazwyczaj bronimy się przed intruzami znacznie skuteczniej. Ale złapała nas pani z opuszczoną gardą... - nie zorientowaliśmy się, kiedy...

- Proszę pana - stwierdziła Vanessa - nie wiem, o co tu chodzi. I nie chcę wiedzieć. Chcę tylko, żebyście pozwolili mi wyjechać i w spokoju dokończyć wakacji. - Sądząc z wyrazu twarzy jej sędziego, prośby te nie trafiły na razie na podatny grunt. - Czy to zbyt wiele? Nic nie zrobiłam. Nic nie widziałam. W czym problem?

Pan Klein wstał.

- Problem? - powtórzył cicho, sam do siebie. - A teraz i pytanie. Nie próbował na nie odpowiedzieć. Zawołał po prostu: Stanisław! Drzwi otworzyły się i stanęła w nich zakonnica.

- Proszę, odprowadź panią Japę do jej celi.

- Złożę protest w ambasadzie! - krzyknęła Vanessa, czując nowy przygniewu.-Mam swoje prawa! .

- Proszę - poprosił pan Klein, sprawiając wrażenie urażonego. - Krzyk niczym nam nie pomoże.

Zakonnica złapała Vanessę za ramię.

- Idziemy? - zapytała grzecznie.

- A czy mam wybór? - spytała z kolei Vanessa.

- Nie.

Tajemnica farsy, dowiedziała się kiedyś Vanessa od szwagra, który był aktorem, polega na tym, że należy ją grać śmiertelnie serio. Nie ma w niej miejsca na znaczące spojrzenia rzucające na galerię i sygnalizujące dowcipne zamysły autora, i na sceny tak przedziwne, by podmywały zaufanie w realność sztuki. Sądząc według tych trudnych kryteriów, otaczali ją prawdziwi zawodowcy, umiejący - mimo habitów, zakonnych kwefów i szpiegujących

Dziewic Maryj - grać tak, jakby w tej szokującej sytuacji nie było nic niezwykłego. Próbowała jak mogła, lecz nie potrafiła obnażyć ich blefu; nie krzywili ust w uśmiechu, niczym nie dali do zrozumienia, że odczuwają niezwykłość sytuacji. Najwyraźniej ona sama nie miała najmniejszego talentu koniecznego do odgrywania tego rodzaju komedii. Im szybciej pojmą swój błąd i uwolnią się od jej towarzystwa, ty będzie szczęśliwsza.

Spała nieźle, w czym pomogło jej pół butelki whisky, którą ktoś domyślnie zostawił w jej pokoju. Vanessa nieczęsto piła tak dużo i tak szybko, i kiedy wczesnym świtem obudziło ją lekkie pukanie do drzwi, głowę miała spuchniętą jej język sprawiał wrażenie zamszowej rękawiczki. Nie od razu zorientowała się gdzie jest; a w międzyczasie pukanie powtórzyło się i ktoś z zewnątrz otworzył judasza w drzwiach. Pojawiła się w nim napięta twarz, twarz starego człowieka brodą jak grzyb i dzikimi oczami.

- Pani Japę - syknął ten ktoś - Pani Japę! Czy możemy pogadać?

Vanessa przemierzyła pokój, doszła do drzwi i zerknęła przez judasza. Oddech mężczyzny składał się z dwóch części starego ouzo na jedną część świeżego powietrza. Powstrzymało ją to przed przytuleniem twarzy do judasza, choć starzec] gestykulował gwałtownie.

- Kim pan jest? - zapytała Vanessa, powodowana nie tylko kobiecą ciekawością; opalona na kolor skóry twarz tego człowieka wydawała się jej znajoma. Mężczyzna zerknął w górę i zaraz opuścił wzrok.

- Wielbicielem - odparł.

- Czy ja pana znam? Mężczyzna potrząsnął głową.

- Jest pani o wiele za młoda - powiedział. - Ale ja znam panią. Widziałem j pani tu wchodzi. Chciałem panią ostrzec, ale zabrakło mi czasu.

- Czy pan też jest tu więźniem?

- W pewnym sensie. Proszę... czy pani widziała Floyda?

- Kogo?

- On... uciekł. Przedwczoraj.

- Ach... - czuła, że udało się jej nawlec na nitkę kilka rozsypanych pereł. - To Floyda ścigali?

- Tak... Widzi pani, jemu udało się wymknąć. Ścigali go... te tępaki... i zostawili otwartą bramę. Ostatnio kwestie bezpieczeństwa wyglądają tu po prostu strasznie - mężczyzna wydawał się autentycznie oburzony. - Nie to, żebym nie był szczęśliwy, bo pani się tu znalazła. - W jego oczach Vanessa zauważyła coś w rodzaju rozpacz; smutek, którego, jej zdaniem, próbował nie ujawniać. - Słyszeliśmy strzały - powiedział. - Nie dorwali go, prawda?

- Chyba nie. Nic nie widziałam. Chciałam sprawdzić. Ale nie dostrzegłam ani śladu...

- Ach! - twarz mężczyzny rozjaśniła się. - Więc może mu się udało?

Vanessa domyśliła się już, że ta rozmowa może być pułapką; jej prześladowcy podstawili staruszkę zapewniając sobie jeszcze jeden sposób na wyciśnięcie z niej wszystkich informacji. Lecz instynkt mówił jej coś innego. Ten człowiek patrzył na nią z takim uczuciem... a jego twarz, przypominająca twarz cyrkowego kłowna, z pewnością nie służyła ukrywaniu emocji. Na dobre lub na złe zaufała mu. Prawdę mówiąc, nie miała wyboru.

- Niech pan mi pomoże się wydostać. Muszę się wydostać! Mężczyzna sprawiał wrażenie załamane.

- Już? - zapytał. - Przecież pani dopiero co tu przyszła.

- Nie jestem złodziejką. Nie lubię siedzieć w zamknięciu. Mężczyzna skinął głową.

- Oczywiście, że nie - przytaknął, po cichu upominając się za swe samolubstwo. - Przepraszam. Tylko, że piękna kobieta... - umilkł i zaczął z innego końca. - Nigdy nie radziłem sobie dobrze ze słowami.

- Czy jest pan pewien, że pana nie znam? - próbowała się dopytać Vanessa. - Mam wrażenie, jakbym gdzieś widziała pańską twarz.

- Doprawdy? To bardzo miło z pani strony. Widzi pani, my wszyscy myśleliśmy, że dawno nas tu zapomniano.

- My?

- Zgarnięto nas tak dawno temu. Wielu dopiero zaczynało prace. To dlatego Floyd uciekał. Chciał te kilka ostatnich miesięcy poświęcić na ucziwe badania. Ja też bym tego chciał. - Mężczyzna przerwał te melancholijne rozważania i powrócił do zadanego mu pytania. - Nazywam się Harvey Gomm, profesor Harvey Gomm. Chociaż ostatnio jakoś zapominam, że byłem profesorem czegokolwiek.

Gomm. Szczególne nazwisko; przypominało jej coś, ale na razie nie mogła sobie uświadomić, co.

- Nie pamięta pani, prawda?

Żałowała, że nie może skłamać, ale kłamstwo mogło odstreczyć mężczyznę, jedyne normalnego człowieka, którego tu spotkała, bardziej niż prawda, która brzmiała:

- Nie... chociaż... gdyby mi pan podpowiedział?

- Nie mogę przeciągać rozmowy, pani Japę.

- Proszę mi mówić Vanessa.

- Czy mogę? - twarz starca rozjaśniła się z radości, że tak wspaniale go potraktowano. - Vanessa?

- Pomoże mi pan?

- Jak tylko mogę - odpowiedział mężczyzna. - Lecz jeśli spotka mnie pani w towarzystwie... i -...to nigdy sienie widzieliśmy.

- Właśnie. Au revoir. - Mężczyzna zamknął judasza. Słyszała jego kroki oddalające się korytarzem. Kiedy, w kilka minut później, pojawił się jej strażnik, sympatyczny twardziel imieniem Guillemot, przynosząc tacę z herbatą, Vanessa, uśmiechała się serdecznie i szeroko.

Gwałtowny wybuch uczuć, którym dała wyraz wczoraj, najwyraźniej na coś się przydał. Tego ranka, po śniadaniu, zgłosił się do niej pan Klein z krótką informacją, że wolno jej będzie wyjść na świeże powietrze (w granicach kompleksu i w towarzystwie Guillemota) i cieszyć się słońcem. Dano jej także nowe ubranie -nieco przy duże, lecz i tak powitane z wdzięcznością jako szansa na pozbycie się przepoconego stroju, noszonego już przez ponad dwadzieścia cztery godziny. To ostatnie ustępstwo było jednak czymś w rodzaju kukułczego jaja. Czysta bielizna sprawiła jej sporo przyjemności lecz sam fakt, że jej ją dostarczono oznaczał, że pan Klein nie przewiduje szybkiego zwolnienia więźnia.

Próbowała obliczyć jak długo może potrwać nim tępawy właściciel hoteliku, w którym mieszkała, zauważy, że klientka nie wraca; a jeśli zauważy - myślała - to co zrobi? Być może już zawiadomił władze, być może władze znajdą samochód i wytropią ją w tej dziwnej fortecy. Ta ostatnia nadzieja zgasła tego samego ranka, podczas przechadzki dla zdrowia. Samochód stał wewnątrz, pod drzewami wawrzynu, i - sądząc z obfitych śladów gołębich odchodów - sprowadzono go tu już wczoraj. Jej prześladowcy nie byli idiotami. Być może będzie musiała czekać, aż zaniepokoi się o nią ktoś w Anglii i zacznie jej szukać; a w międzyczasie pewnie przyjdzie jej umrzeć z nudów.

Inni najwyraźniej znaleźli rozrywki, powstrzymujące ich przed przekroczeniem granicy szaleństwa. Kiedy tak Vanessa wędrowała sobie alejkami wraz z Guillemontem, z pobliskiego dziedzińca wyraźnie słyszała głosy, jeden z nich niewątpliwie Gomma, hałaśliwe i podniecone.

- Co się tam dzieje?

- Grają - odpowiedział Guillemont.

- Możemy pójść i zobaczyć? - zapytała go niedbale.

- Nie.

- Lubię gry.

- Doprawdy? - zdziwił się Guillemont. - To może kiedyś zagramy, co? Nie takiej odpowiedzi oczekiwała, lecz naciskając mogła wzbudzić niepotrzebne podejrzenia.

- Czemu nie? - zdobywając zaufanie tego człowieka mogła tylko wygrać.

- Poker?

- Nigdy nie grałam.

- Nauczę cię - powiedział. Ten pomysł najwyraźniej sprawił mu przyjemność. Sądząc z tych okrzyków, wyrażających najwyraźniej zachętę a później stopniowo cichnących, odbywało tam coś w rodzaju wyścigów. Guillemont zauważył, jak słucha.

- Żaby - powiedział. - Wyścig żab.

- Właśnie się zastanawiałam.

Guillemont przyjrzał się jej niemal z sympatią i stwierdził:

- Lepiej się nie zastanawiać.

Wbrew tej radzie, raz zwróciwszy uwagę na dochodzące z dziedzińca krzyki, nie potrafiła już o nich zapomnieć. Hałas słyhać było całe popołudnie, raz ciszej, raz głośniejsze. Czasami rozlegały się wybuchy śmiechu, równie często gwałtowne kłótnie. Gomm i jego przyjaciele byli jak dzieci; kłócili się o coś tak nieważnego jak wyścig żab. Lecz, biorąc pod uwagę brak bardziej pożywnych dla wyobraźni zajęć, czy mogła się im dziwić? Kiedy - wieczorem tego samego dnia - w drzwiach pojawiła się twarz Gomma, pierwsze jej słowa brzmiały:

- Słyszałam was dziś rano, na jednym z dziedzińców. I po południu też. Brzmiało tak, jakbyście się doskonale bawili.

- Ach, gry! - odpowiedział Gomm. - Mieliliśmy ciężki dzień. Mnóstwo spraw do załatwienia.

- A czy nie mógłbyś przekonać ich, żeby pozwolili mi się do was dołączyć? Zaczynam się strasznie nudzić!

- Biedna Vanessa! Szkoda, że nie mogę ci pomóc. To praktycznie niemożliwe. Akurat teraz jesteśmy strasznie zapracowani, a bez Floyda...

Przepracowani, pomyślała, wyścigami żab? Nie chcąc nikogo obrażać, nie wyraziła jednak głośno swych wątpliwości.

- O co tu chodzi? - zapytała. - Nie jesteście kryminalistami, prawda?: Gomm sprawiał wrażenie rozgniewanego.

- Kryminalistami?

- Przepraszam...

- Nie, rozumiem pani wątpliwości. Przypuszczam, że to może się wydawać dziwne... że tak nas tu zamknęli. Ale nie, nie jesteśmy kryminalistami.

- To o co chodzi? Co to za wielki sekret?

Gomm zaczerpnął głęboko powietrza i odpowiedział:

- Jeśli powiem wszystko, czy pomoże nam pani się stąd wydostać? Jak? Pani samochód. Stoi przy bramie.

- Tak, widziałam go.

- Jeśli się do niego dostaniemy, wywiezie nas pani?

- Ilu was jest?

- Czworo. Ja, Ireniya, Mottershead i Goldberg. No, i oczywiście Floyd jest gdzieś tam, w pobliżu, ale on musi sam się o siebie troszczyć, prawda?

- To mały samochód - stwierdziła Vanessa ostrzegawczym tonem.

- My wszyscy też jesteśmy mali - odbił piłkę Gomm. - Z wiekiem człowiek się kurczy, wie pani, jak suszony owoc. A my jesteśmy starzy. Razem z Floydem mieliśmy trzysta dziewięćdziesiąt osiem lat. Gorycz życia - westchnął - ...i żaden z nas nie zmądrzał.

Na podwórku, pod oknem pokoju Vanessy, rozległy się nagle krzyki. Gomm znikł na chwilę, pojawił się, ryknął: - Znaleźli go. Mój Boże, znaleźli go i uciekł.

Vanessa podeszła do okna i wyjrzała na dwór. Widziała tylko mały kawałek podwórka, a po tym kawałku zakonnice ganiały w pośpiechu tam i sam. W samym środku szaleństwa tkwiła mała figurka - bez wątpienia zbieg Floyd we własne osobie - wrywająca się dwóm strażnikom. Dni i noce spędzone w guszy i dzicz} nie wyszły mu na dobre; pomarszczoną twarz miał brudną, od nadmiaru słońca skóra zlazila mu z łysiny. Vanessa usłyszała przebijający się przez ten cały hałas znajomy głos i na scenę wkroczył pan Klein. Podszedł do Floyda i zaczął mu bezlitośnie wymyślać. Rozumiała z tego nie więcej niż jedno słowo na dziesięć lecz widziała, jak ta brutalna chłosta słowna raptownie doprowadziła starego człowieka do łez. Odwróciła się od okna modląc się cicho i żarliwie by pan Klein udławił się następnym kawałkiem czekolady.

Jak na razie spędzony w fortecy czas zaowocował zdumiewającą różnorodnością doświadczeń. Niektóre z nich były bardzo przyjemne: uśmiech Gomma, pizza, odgłosy rozgrywanych na dziedzińcu wyścigów. A inne: przesłuchanie, wymysły których właśnie wysłuchiwała, nieznośne. I ciągle nie potrafiła zrozumieć, jaki sens miało to więzienie, dlaczego trzymano w nim tylko pięć osób (sześć, wliczając ją) i dlaczego wszyscy byli tacy starzy, skurczeni ze starości, jak to ujął Gomm. Lecz po tym, jak Klein upokorzył Floyda nabrała pewności, że żadna, nawet najciekawsza tajemnica nie powstrzyma jej w próbie udzielenie pomocy Gommowi.

Ale tego wieczora profesor się nie pojawił, co mocno ją rozczarowało. Być może ujęcie Floyda zaowocowało zaostreniem dyscypliny, przypuszczała, choć jeśli tak, to ta zasada najwyraźniej nie stosowała się do niej. O niej praktycznie zapomniano. Guillemont przynosił jej wprawdzie jedzenie i picie, ale nie został, jak obiecywał, by uczyć ją gry w pokera, i nikt nie wyprowadzał jej już na świeże powietrze. Pozostawiona sama sobie w małym pokoiku, pozbawiona jakiegokolwiek rozrywki oprócz liczenia palców u stóp, Vanessa niemal od razu stała się apatyczna i leniwa. .

Właśnie przesyiała wczesne popołudnie, gdy coś uderzyło w ścianę budynku, od zewnątrz, przy framudze. Vanessa wstała i akurat przechodziła przez pokój sprawdzić skąd pochodził dźwięk, kiedy jakiś przedmiot wpadł przez okno i z donośnym stukiem wylądował na podłodze. Chciała zobaczyć nadawcę, ale już nie zdążyła.

Paczuszka składała się z klucza owiniętego w krótki liścik. "Vanesso" - napisał ktoś. "Bądź gotowa. Twój in saecula saeculorum H.G."

Niezbyt silna w łacinie, Vanessa mogła tylko mieć nadzieję, że te ostatnie słowa były dowodem uczucia a nie instrukcją. Włożyła klucz w zamek drzwi. Pasował. Z pewnością Gomm nie pragnął jednak, by użyła go teraz. Miała czekać na sygnał. Napisał przecież: "Bądź gotowa". Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Taka pokusa: drzwi otwarte, wolne przejście korytarzem wprost w słońce. Łatwo zapomnieć o Gommie i innych, i próbować wydostać się na wolność. Lecz H.G. z pewnością sporo ryzykował zdobywając klucz. Coś mu była winna.

Teraz już nie miała ochoty na drzemkę. Za każdym razem, gdy z krużganków dobiegał ją odgłos kroków, gdy słyszała jakiś okrzyk na podwórzu, podrywała się na równe nogi gotowa do akcji. Lecz Gomm nie dał znaku życia. Popołudnie przeszło w wieczór. Guillemont pojawił się przynosząc jej na kolację kolejną pizzę i butelkę Coca-coli, i nim zdążyła się zorientować zapadła noc. Minał następny dzień.

Być może pojawią się pod osłoną nocy, myślała, ale się nie pojawili. Wszedł księżyc, uśmiechając się kretynsko swymi morzami, a Gomm i obiecany przez niego exodus nie zmaterializowali się w żadnej formie. Vanessa zaczęła podejrzewać najgorsze: że odkryto ich plan i że wszystkich za to ukarzą. Jeśli tak, to czy pan Klein prędzej czy później nie odkryje, że i ona brała w tym udział? A choć był on minimalny, jaką karę obmyśli zaś ów łakomczuch? Gdzieś po północy Vanessa doszła do wniosku, że siedzenie w miejscu i czekanie, aż spadnie miecz, to zupełnie nie w jej stylu i że najmądrzej będzie zrobić to, co zrobił Floyd: spróbować ucieczki.

Wydostała się z celi, zamknęła za sobą drzwi i przemknęła krużgankami starając się cały czas trzymać w cieniu. Ani śladu ludzi - lecz pamiętała czujną Madonnę, która już raz ją szpiegowała. W miejscu takim jak to niczemu nie wolno zaufać. Poruszając się jak najciszej i mając szczęście po swojej stronie znalazła w końcu dziedziniec, na którym Floyd stanął twarzą w twarz z Kleinem. Zatrzymała się próbując dojść, który korytarz prowadzi do wyjścia, chmury zakryły jednak księżyc i w ciemności jej żalodne poczucie kierunku zanikło zupełnie. Ufając szczęściu, które sprawiło, że dotarła niezauważona tak daleko, wybrała na chybił trafił jeden z korytarzy. Wijąc się i skręcając raz w lewo, raz w prawo, korytarz ten wyprowadził ją w końcu na kolejny dziedziniec, większy od poprzedniego. Lekki wiatr poruszał liście dwóch splecionych ze sobą drzew wawrzynu wyrastających z jego środka, cykady obsiadły mury i stroiły się do nocnego koncertu. Piękny i spokojny był ten dziedziniec, miał jednak jedną wadę: nie dostrzegła żadnej drogi, która prowadziłaby stąd na wolność. Vanessa już miała wrócić drogą, którą przyszła, gdy nagle rozwiały się chmury i księżyc zalał go swym blaskiem od ściany do ściany.

Oprócz drzew wawrzynu i ich cieni Vanessa nie dostrzegła niczego, lecz cień padł na skomplikowany wzór zdobiący posadzkę. Wpatrzyła się weń, zbyt zaciekawiona by odejść, choć wzór ten nie miał dla niej na razie żadnego sensu. Był tym, czym się wydawał, po prostu dekoracją. Przeszła wzdłuż jego krawędzi, starając się dostrzec w nim jakiś sens. Nagle domyśliła się, że ogląda go do góry - nogami. Przeszła na drugi koniec dziedzińca i wzór stał

się całkiem jasny. Patrzyła na mapę świata, tak szczegółową, że przedstawiono na niej nawet najmniejszą wysepkę. Wszystkie wielkie miasta były wyczerpująco opisane, a oceany i kontynenty pocięto południkami, równoleżnikami i mnóstwem innych oznaczeń. Chociaż nie potrafiła domyślić się sensu wielu z nich było dla niej jasne, że mają coś wspólnego z polityką: wody terytorialne, strefy sporne, kwestionowane przez którąś ze stron granice. Wiele z nich kilkakrotnie zmieniano przy pomocy kredy, jakby na mapę nanoszono dane wywiadu. W niektórych regionach, najprawdopodobniej tam, gdzie wiele się działo, zarysy kontynentów prawie w całości zamazane były notatkami.

Między Vanesę a jej własne bezpieczeństwo wkroczyła niepojęta ciekawość. Nie słyszała kroków, gdy ktoś wkroczył na biegun północny i dostrzegła gościa dopiero wtedy, gdy wyszedł z cienia w blask księżyca. Już zbierała się do ucieczki, gdy nagle rozpoznała Gomma.

- Nie ruszaj się! - szepnął poprzez cały świat.

Zrobiła co kazał. Gomm rozejrzał się wokół jak osaczony zając i podszedł do Vanessy dopiero wtedy gdy upewnił się, że nikt ich nie śledzi.

- Co tu robisz? - zapytał oskarżycielsko.

- Nie przyszedłeś - odparła Vanessa tym samym tonem. - Myślałam, że o mnie zapomniałeś.

- Ciężko jest. Obserwują nas przez cały czas.

- Nie mogłam tak po prostu czekać, Harvey. To nie miejsce na spędzenie wakacji.

- Nie, oczywiście że nie - odparł Gomm, żywy obraz klęski. - To beznadziejne, to całkiem beznadziejne. Powinnaś uciekać sama. Zapomnij o nas. Nas nigdy nie wypuszczą. Prawda jest zbyt straszna.

- Jaka prawda?

Gomm potrząsnął głową.

- Zapomnij o tym. Zapomnij, że się kiedykolwiek spotkaliśmy. Vanessa złapała go za cienkie ramię.

- Nie zapomnę - powiedziała. - Muszę wiedzieć, co się tutaj dzieje. Gomm wzruszył ramionami.

- Być może nawet powinnaś. Być może cały świat powinien wiedzieć. - Wziął Vanesę za rękę i obydwoje wycofali się w oazę względnego bezpieczeństwa, pod ścianę krużganków.

- Po co ta mapa? - To było pierwsze pytanie, które przyszło Vanessie do głowy.

- Właśnie tutaj gramy - Gomm spojrział na notatki, zamazujące posadzkę.

Westchnął. - Oczywiście, nie zawsze była to gra. Ale systemy degenerują się, wiesz? To warunek nie do uniknięcia; dotyczy zarówno materii, jak i idei. Zaczynasz pełen szlachetnych intencji i po dwudziestu latach... dwudziestu latach... -powtórzył, jakby ten fakt przeraził go od nowa - ...urządzasz wyścigi żab.

- Mówisz bez sensu, Harvey. Czy to zamierzone, czy tylko skleroza?

Gomm drgnął słysząc jej oskarżenie, ale zrobiło ono swoje. Ze wzrokiem wbitym w mapę wypowiadał następne słowa jasno i precyzyjnie, jakby ćwiczył już kiedyś swą spowiedź.

- Kiedyś, w 1962 roku, przyszedł dzień otrzeźwienia i wielcy tego świata zorientowali się, że już go prawie zniszczyli. Nawet im niezbyt przypadła do gustu wizja Ziemi zamieszkałej wyłącznie przez karaluchy. Jeśli mamy zapobiec anihilacji, zdecydowali, górę muszą wziąć nasze szlachetne instynkty. I zebrał się na tajnym spotkaniu w Genewie. Nigdy przedtem nie odbyło się takie spotkanie wielkich umysłów. Przywódcy Politbiur i Parlamentów, Kongresów, Senatów, władcy Ziemi, podczas jednej gigantycznej debaty. Zdecydowali, że w przyszłości sprawy polityki powinny być nadzorowane przez specjalny komitet, w skład którego wejdą ludzie o niewątpliwym autorytecie i inteligencji, na przykład tacy jak ja; mężczyźni i kobiety, na których kaprysy polityki i polityków nie mają żadnego wpływu i którzy mogą określić jakieś zasady zapobiegające masowemu samobójstwu. Komitet miał się składać z ludzi przodujących na polu intelektualnym, z najlepszych z najlepszych, naukowców i moralistów; ich zbiorowa mądrość miała sprowadzić na Ziemię nowy Złoty Wiek. W każdym razie taka była teoria.

Vanessa słuchała w milczeniu. Nie zadała ani jednego z tysiąca pytań, które przyszły jej do głowy już po wysłuchaniu tej krótkiej przemowy.

- Przez pewien czas nawet się nam udawało - mówił dalej Gomm. - Było nas tylko trzynaścioro; w końcu trzeba się było jakoś dogadywać. Rosjanin, kilku Europejczyków jak ja, oczywiście droga Yoniyoko, Nowozelandczyk, paru Amerykanów... Całkiem potężna z nas była banda, dwóch laureatów Nobla, wliczając mnie...

Teraz Vanessa przypomniała sobie Gomma, a przynajmniej uświadomiła sobie, kiedy po raz ostatni widziała jego twarz. Obydwoje byli wtedy znacznie młodszy. Szkoła, jego teorie, które wkuwała na pamięć...

- ...naszym zadaniem było, mówiąc najkrócej, kształtowanie zrozumienia między istniejącymi potęgami, pomoc przy opracowywaniu humanitarnych struktur ekonomicznych i kształtowaniu kulturowej specyfiki powstających narodów. To wszystko, oczywiście, ogólniki, ale wtedy brzmiały one wspaniale. Okazało się, że niemal od początku mieliśmy przede wszystkim problemy terytorialne.

-Terytorialne?

Gomm szerokim gestem wskazał na mapę.

- Pomagaliśmy dzielić świat. Regulowaliśmy przebieg małych wojen, żeby nie stały się wielkimi wojnami. Powstrzymywaliśmy dyktatorów przed zbyt dużym samouwielbieniem. Staliśmy się śmieciarzami świata, czyściliśmy brud by nie zaległ zbyt grubą warstwą. Wielka odpowiedzialność, lecz z radością nieśliśmy ją na naszych barkach. Na początku sprawiało

nam sporą przyjemność to, że w trzynaścioro kształtujemy historię świata, że o naszym istnieniu wiedzą tylko najwyższe kręgi rządowe.

To, pomyślała Vanessa, największy w historii kompleks Napoleona. Gomm niewątpliwie jest szaleńcem, lecz jakież to bohaterskie szaleństwo! I w gruncie rzeczy nieszkodliwe. Dlaczego musieli go zamknąć? Przecież z pewnością nie jest groźny.

- To chyba nie w porządku - powiedziała - że tak was tu zamknęli.

- Cóż, zrobili to oczywiście dla naszego własnego bezpieczeństwa. Wyobraź sobie ten chaos, gdyby dowiedziała się o nas jakaś grupa terrorystyczna i zorganizowała zamach. Przecież rządaliśmy światem. Nie miało być tak, ale, jak powiedziałem, wszystkie systemy degenerują się. W miarę upływu czasu wielcy, wiedząc, że zawsze możemy podjąć za nich najważniejsze decyzje, coraz częściej zajmowali się przyjemnościami związanymi z pełnieniem wysokich urzędów, a coraz rzadziej myśleniem. W ciągu pięciu lat zmieniliśmy się z doradców we władców zastępczych. Zaczęliśmy zonglować narodami.

- Ale zabawa - stwierdziła Vanessa.

- Być może, na krótką chwilę - odpowiedział jej Gomm. - Ale zaszczyty szybko bledną. Po jakichś dziesięciu latach zaczęliśmy odczuwać skutki ciśnienia. Połowa komitetu już nie żyła. Buchanan, Nowozelandczyk, miał syfilis i nic o tym nie wiedział. Droga Yoniyoko była stara, Bernheimer i Sourbutts także. Wszyscy się starzejemy i Klein obiecuje nam bez przerwy, że zdobędzie ludzi na zastępstwo, ale to nikogo nie obchodzi. Wszyscy mają to w nosie! Jesteśmy po prostu funkcjonariuszami - Gomm zaczął się denerwować. - Jak długo przekazujemy im polecenia, wszystko jest w porządku. No i - głos opadł mu do szeptu - chcemy się wycofać.

Czy to moment względnej normalności, zastanowiła się Vanessa. Czy to ukryty w mózgu Gomma rozsądek próbuje zniszczyć iluzje o dominacji światowej? Jeśli tak, może mogłaby pomóc?

- Chcecie uciec? - zapytała. Gomm skinął głową.

- Przed śmiercią chcę jeszcze raz zobaczyć dom. Dla tego komitetu, Vanesso, zrezygnowałem z tylu rzeczy, że omal nie przyprawiło mnie to o szaleństwo. Ach, pomyślała Vanessa, on wie.

- Czy nie zabrzmiało zbyt samolubnie jeśli powiem, że życie wydaje mi się zbyt wielkim poświęceniem dla sprawy światowego pokoju?

Vanessa uśmiechnęła się z jego pretensji do władzy, ale milczała.

- Jeśli tak, niech sobie brzmi! Nie żałuję! Chcę uciec! Chcę...

- Bądź cicho - poradziła mu.

Gomm przypomniał sobie gdzie jest i skinął głową.

- Przed śmiercią chcę jeszcze zaznać odrobiny wolności. Wszyscy tego chcemy. I myśleliśmy, wiesz, że mogłabyś nam pomóc - Gomm podniósł wzrok. - Co się stało? - zapytał.

- Stało?

- Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Jesteś chory, Harvey. Chyba niegroźnie, ale...

- Zaraz, chwilę. Co ja ci według ciebie opowiedziałem? Tyle kłopotów...

- Harvey, twoja historyjka bardzo mi się podobała.

- Historyjka? Co masz na myśli? - Gomm stawał się opryskliwy. - Ach... rozumiem. Nie wierzysz mi, prawda? No właśnie! Zdradziłem ci największy sekret świata, a ty mi nie wierzysz!

- Nie mówię, że kłamiesz...

- A więc to tak! Myślisz, że zwariowałem? - Gomm eksplodował. Echo jego głosu poniosło się nad prostokątnym światem. Niemal natychmiast w szeregu budynków odezwały się inne głosy, którym szybko zawtórował stukot kroków.

- Popatrz, co zrobiłaś!

- Ja? - zdumiała się Vanessa.

- Mamy kłopoty.

- Słuchaj, Harvey, to nie znaczy...

- Za późno się teraz wycofywać. Zostań gdzie jesteś... ja sobie pobiegam. Odwróć ich uwagę.

Już miał uciekać gdy nagle obrócił się do Vanessy, złapał ją za rękę i podniósł jej dłoń do ust.

- Jeśli jestem szalony - powiedział - to ty doprowadziłaś mnie do szaleństwa.

I zwiął. Krótkie nóżki przeniosły go przez dziedziniec ze zdumiewającą szybkością. Nie zdążył jednak dobiec nawet do wawrzynów, gdy pojawili się strażnicy \ i krzykiem rozkazali mu stanąć. Nie usłuchał ich i jeden ze strażników wystrzelił. Kule przeorały ocean u stóp Gomma.

- W porządku - wrzasnął Gomm, stając i podnosząc do góry rękę. - Mea culpa! Wstrzymano ogień. Strażnicy rozdzielili się, a przed szereg wystąpił ich dowódca.

- A, to ty, Sidney - powiedział Gomm kapitanowi, który wyraźnie drgnął gdy usłyszał, jak go nazwano przed niższymi rangą.

- Co tu robisz tak późno w nocy? - zapytał.

- Obserwuję gwiazdy - odparł Gomm.

- Nie byłeś sam!

Serce Vanessy uderzyło mocniej. Nie mogła wrócić do pokoju nie przekraczając dziedzińca a poza tym, biorąc pod uwagę ten cały hałas i zamieszanie, Guillemont z pewnością sprawdzał już jej pokój.

- To prawda - przyznał Gomm. - Nie byłem sam. - Czyżby obraziła staruszka tak mocno, że zamierzają teraz zdradzić? - Widziałem kobietę, którą tu sprowadziliście...

-Gdzie!

- ...jak przełaziła przez mur.

- Święty Jezu! - kapitan odwrócił się do swych ludzi i wydał im rozkaz pościgu.

- Powiedziałem jej, głądził dalej Gomm, powiedziałem jej: "Skręcisz kark przełaząc przez mur. Lepiej zaczekaj, aż otworzą bramę". Otworzą bramę. A więc jednak nie był aż tak szalony.

- Filipienko - rozkazał kapitan. - Odprowadzicie Harveya do jego sypialni.

- Nie potrzebuję bajeczki na dobranoc - zaprotestował Gomm. - Dajcie mi święty spokój!

- Odprowadzić!

Strażnik podszedł do Gomma i wyprowadził go z dziedzińca. Kapitan zatrzymał się na chwilę, mruknął: "I kto tu jest cwany, Sidney?" i poszedł za nimi. Dziedziniec opustoszał; pozostały na nim tylko światło księżyca i mapa.

Vanessa odczekała aż odgłos kroków całkowicie ucichnie, a później wyslizgnęła się z kryjówki i poszła drogą, którą przed nią obrali strażnicy. Droga ta doprowadziła ją do miejsca, które pamiętała ze swych spacerów z Guillemontem, co nadzwyczajnie dodało jej odwagi. Pośpieszyła korytarzem i dotarła nim na dziedziniec Naszej Pani Patronki Szpiegów. Skradając się pod ścianą prześlizgnęła się poniżej poziomu wzroku Madonny i w końcu dotarła do bramy. Rzeczywiście, otwarte. Jak stwierdził ten starzec kiedy spotkali się po raz pierwszy, dyscyplina wyglądała tu doprawdy fatalnie.

Podbiegła do drzwi i wtedy usłyszała chrzęst ciężkich butów na żwirze; a kiedy obejrzała się przez ramię dostrzegła, jak zza drzewa wychodzi kapitan z karabinem w dłoni.

- Czekoladkę, pani Japę? - zapytał Klein.

- To szpital wariatów - stwierdziła Vanessa, kiedy przyprowadzono ją do pokoju przesłuchań. -.Ni mniej, ni więcej. Nie macie prawa mnie tu trzymać! Klein zignorował jej protesty.

- Pani rozmawiała z Gommem - stwierdził. - A Gomm z panią.

- A jeśli tak, to co?

- Co on pani powiedział?

- Spytałam: to co?

- A ja spytałem: co powiedział!? - ryknął Klein. Nie przypuszczała, że może się tak wściec.

- Muszę to wiedzieć, pani Japę!

Wbrew swym najszczęśliwszym chęciom Vanessa stwierdziła, że drży.

- Mówił jakieś bzdury. To szalenie. Chyba wszyscy tu oszaleli.

- Jakie bzdury?

- Po prostu bzdury.

- Chcę wiedzieć - głos Kleina cichł powoli. - Proszę mnie uspokoić.

- Mówił, że obraduje tu jakiś komitet decydujący o polityce światowej. Że sam jest członkiem tego komitetu. Takie tam nonsensy.

- I?

- Jak najłagodniej oznajmiłam mu, że jest wariatem.

Pan Klein uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Oczywiście, to tylko wymysł - stwierdził.

- Oczywiście - przytaknęła Vanessa. - Chryste, niech mnie pan nie traktuje jak idiotkę, panie Klein. Jestem dorosłą kobietą...

- Pan Gomm...

- Powiedział, że jest profesorem.

- Kolejne złudzenie. Pan Gomm to schizofrenik. W pewnych okolicznościach może być bardzo niebezpieczny. Miała pani sporo szczęścia.

- A inni?

- Inni?

- Przecież nie jest tu sam. Słyszałam ich. Czy oni wszyscy to schizofrenicy? Klein westchnął.

- Wszyscy są umyślowo chorzy, chociaż w różnym stopniu. I swego czasu, choć brzmi to niewiarygodnie, byli mordercami - przerwał, dając Vanessie czas na przyswojenie sobie tej informacji. - Niektórzy z nich to wielokrotni mordercy. To dlatego trzymamy ich wszystkich tu, w ukryciu. I dlatego straż jest uzbrojona.

Vanessa otworzyła usta pragnąc zapytać skąd wziął się pomysł przebrania strażników za zakonnice, ale pan Klein nie zamierzał jej na to pozwolić.

- Proszę mi wierzyć, pobyt tu jest dla mnie równie uciążliwy, co dla pani denerwujący.

- Więc niech mnie pan wypuści.

- Kiedy zakończę śledztwo. W międzyczasie byłbym wdzięczny, gdyby zgodziła się pani współpracować. Jeśli pan Gomm lub któryś z pacjentów będzie usiłował panią w coś wciągnąć, proszę poinformować mnie o tym. Natychmiast. Dobrze?

- Chyba...

- I proszę powstrzymać się od prób ucieczki. Następna może się zakończyć tragicznie.

- Chciałam zapytać...

- To może jutro - Klein wstał i spojrzał na zegarek. - Na razie pora spać.

Sen nie nadchodził. Vanessa zastanawiała się, która z leżących przed nią dróg wiodących do prawdy jest najmniej prawdopodobna. Dróg tych było kilka: inną wytyczał Gomm, inną Klein, a jeszcze inną jej własny zdrowy rozsądek. Każda z nich kusiała, bo była nieprawdopodobna. Na żadnej, jak na drodze, którą tu przybyła, nie było drogowskiego znaku. Niemila konsekwencją skrętu w tą najponętniejszą z dróg było to, że się tu znalazła; zmordowana, pogwałcona, pozbawiona niemal nadziei ucieczki. Lecz taka perwersja leżała w jej naturze a być może, przynajmniej zdaniem Rolanda, była jedyną wyróżniającą ją cechą. Jeśli teraz postąpi wbrew swym zasadom i instyngtom, choć to one ją tu wpakowały, jest zgubiona. Vanessa przewracała się w łóżku; szukała wyjścia z sytuacji. I nad ranem je znalazła.

Przeczekala dzień. Miała nadzieję, że Gomm jednak się pojawi choć nie była zdziwiona kiedy się nie pojawił. Całkiem możliwe, że zdarzenia z poprzedniego dnia wpakowały go w kłopoty wystarczająco poważne, by nie mógł się już z nich wyłgać. Guillemont pojawiał się i znikał przynosząc jedzenie, picie i - po południu - także talię kart. Vanessa szybko przyswoiła sobie ducha klasycznego pokera i grali tak sobie radośnie godzinkę czy dwie, podczas gdy w powietrzu brzmiały okrzyki szaleńców dopingujących żaby.

- Jak sądzisz, czy dałoby się załatwić mi kąpiel? No, przynajmniej prysznic - zapytała, kiedy wieczorem przyniósł jej kolację. - Doszło już do tego, że nie mogę znieść własnego towarzystwa.

Guillemont nawet się uśmiechnął. , - Dowiem się - obiecał.

- Doprawdy? - szepnęła Vanessa. - To bardzo miło z twojej strony. W godzinę później strażnik wrócił z informacją, że złożył petycję, otrzymał pozwolenie, i czy pani Japę nie byłaby uprzejma udać się z nim pod prysznic?

- Masz zamiar umyć mi plecy? - zapytała niedbale Vanessa. W oczach Guillemonta zabłysła panika, uszy zaczerwieniły mu się jak marchewka.

- Proszę za mną - powiedział tylko.

Vanessa poszła za nim posłusznie, starając się zapamiętać drogę na wypadek, gdyby musiała kiedyś przejść nią bez przewodnika.

Łazienka, do której ją zaprowadzono była całkiem luksusowa i - przeglądając się w wiszących na ścianach lustrach - Vanessa żałowała, że prawdziwa kąpiel mieści się tak nisko na liście jej priorytetów. Wszystko jedno, doczyści się kiedy indziej.

- Zaczekam za drzwiami - obiecał Guillemont.

- To brzmi obiecująco - Vanessa rzuciła mu powłóczyście spojrzenie; miał nadzieję, że uznaje za obiecujące, i zamknęła drzwi. Puściła z prysznica najgorętszą wodę, aż całą łazienkę zasnęła para, padła na kolana i namydliła podłogę. Kiedy już nic nie było widać i kiedy zabrakło mydła zawołała Guillemonta szybkością, z jaką zareagował, była dla niej wspaniałym komplementem. Nie miał; jednak czasu by kontemplować ten zaszczyt, bo musiała zejść go we mgłę od tyłu i mocno popchnąć. Guillemont poślizgnął się, wjechał głową naprzód pod gorącą wodę i wrzasnął. Karabin z brzękiem upadł na kafelki; nim strażnik zdołał wstać Vanessa trzymała już broń w rękach i celowała mu w pierś - całkiem pokazny cel i chociaż nie była snajperem i ręce się jej trzęsły, z tej odległości trafiłby nawet ślepiec. Obydwoje o tym wiedzieli. Guillemont podniósł ręce nad głowę.

- Nie strzelaj.

- Nie rusz nawet paluszkiem.

- Proszę, nie strzelaj.

- Nooo... to zabierz mnie do Gomma i innych! Szybko i cicho.

- Dlaczego?

- Ruszamy - Vanessa machnęła karabinem dając mu do zrozumienia że ma pierwszy wyjść z łazienki. - Jeśli spróbujesz czegoś sprytnego, strzelę ci w plecy. Wiem, że to nie po rycersku, ale ja nie jestem rycerzem. Jestem nieobliczalną kobietą, więc postępuj ze mną bardzo ostrożnie.

- Oczywiście.

Zrobił co mu kazała, potulnie; wyprowadził ją z gmachu i poszli korytarzami, które jej zdaniem prowadziły do dzwonnicy i przytulonych do niej budynków. Od początku niewoli i przez cały jej czas Vanessa sądziła, że to coś, serce fortecy, musi stanowić kaplica. Nie mogła mylić się bardziej. Kryty dachówką dach i białe ściany okazały się tylko skorupą, fasadą; po

przekroczeniu progu znaleźli się w betonowym labiryncie bardziej przypominającym bunkier niż miejsce modlitwy. Vanessa doznała przelotnego wrażenia, że jest to nawet schron przeciwiatomowy; wrażenie to potęgował fakt, że wszystkie korytarze prowadziły w dół. Jeśli rzeczywiście był to szpital, to zbudowano go dla bardzo szczególnych wariatów.

- Co to jest? - zapytała Guillemonta.

- Nazywamy to buduarem. Tu wszystko się dzieje.

Akurat teraz działo się niewiele. Większość biur, do których wchodziło się z korytarza, pogrążona była w ciemności. W jednym opuszczony komputer obliczał sobie szansę na wolność i niezależność, w innym teleks wypisywał listy miłosne sam do siebie. Nie niepokojeni dotarli na samo dno, lecz gdy wyszli zza jednego z rogów, wpadli na sprzątaczkę myjącą na kłęczkach linoleum. Spotkanie zaskoczyło obie strony i Guillemont szybko to wykorzystał: pchnął Vanessę na ścianę i prysnął. Znikł, nim zdołała się pozbierać.

Vanessa przeklinała pod nosem samą siebie. Za chwilę zadzwonią dzwonki i pojawią się strażnicy. Jeśli zostanie tu, jest zgubiona. Wszystkie trzy wyjścia z tego korytarza wyglądały równie beznadziejnie, więc po prostu pobiegła ku najbliższemu, ścigana zdumionym spojrzeniem sprzątaczkki. Okazało się, że wybrała drogę wręcz najeżoną niespodziankami. Mijała kolejne gabinety: w jednym dostrzegła kilkanaście zegarów, z których każdy pokazywał inny czas, w następny najmarniej kilkadziesiąt czarnych telefonów, a w trzecim, największym, mnóstwo monitorów telewizyjnych, zasłaniających wszystkie ściany od podłogi do sufitu. Wszystkie oprócz jednego były wyłączone, a na jedynym czynnym odbywało się coś, co Vanessa wzięła w pierwszej chwili za transmisję damskich zapasów w błocie, a co w rzeczywistości okazało się nędzną kopią pornosu. W fotelu, balansując na brzuchu puszką piwa, siedziała wpatrzona w ekran wąsata siostrzyczka. Przyłapaną przez Vanessę na gorącym uczynku, zerwała się na równe nogi i wpatrzyła w wymierzoną w nią lufę.

- Zastrzelę cię na miejscu - stwierdziła Vanessa.

- O kurwa! - wy stękała zakonnica.

- Gdzie Gomm i inni?

- Co?

- Gdzie oni są!? Już!

- Idź korytarzem. W lewo i jeszcze raz w lewo - poinformowała ją siostrzyczka i dodała: - Nie chcę umierać.

- To siadaj i stul dziób.

- Dzięki Bogu!

- To dziękuj. - Kiedy wysuwała się tyłem z pokoju, zakonnica posłusznie padła na kolana, a nad jej głową nadal tarzały się zapaśniczki.

W lewo i jeszcze raz w lewo. Instrukcje okazały się do niczego; poprowadziły ją do kilku pokoi. Właśnie miała zapukać do najbliższego, kiedy rozległ się dźwięk alarmu. Vanessa zarzuciła nawet pozory ostrożności i zaczęła otwierać wszystkie drzwi po kolei. Jakież głosy przeklinały, bo późno i dlaczego właściwie dzwoni alarm? Wreszcie, w trzecim pokoju, odnalazł się sam Gomm, szeroko uśmiechając się na powitanie.

- Vanessa - powiedział, wyglądając na korytarz. Miał na sobie długą kamizelkę i nic więcej. - Więc jednak przyszłaś, co? Przyszłaś!

Z pokoi zaczęli wychodzić i inni, nieprzytomni, zaspani. Ireniya, Floyd, Mottershead, Goldberg. Patrząc na ich pomarszczone twarze z łatwością wierzyła, że mają łącznie ze czterysta lat.

- Wstawajcie, wy stare pryki - przemówił do nich Gomm. Znalazł już spodnie i właśnie je zakładał.

- To alarm - odezwał się Ktoś o włosach kompletnie białych i opadających aż na ramiona.

- Dotrą tu szybko - powiedziała Ireniya.

- Nie ma sprawy - stwierdził Gomm. Floyd już zdążył się ubrać.

- Jestem gotów - oznajmił.

- Ale nas jest mniej - zaprotestowała Vanessa. - Nie wydostaniemy się stąd żywi.

- Ma rację - powiedział ktoś i spojrzał na nią zezem.

- Zamknij się, Goldberg - warknął Gomm. - Ma przecież broń, nie?

- Jeden karabin - stwierdził siwowłosy. To musiał być Mothershead. - Jeden karabin na nich wszystkich.

- Wracam do łóżka - oznajmił Goldberg.

- Mamy szansę ucieczki - przekonywał Gomm. - Druga taka prawdopodobnie już się nam nie zdarzy.

- Ma rację - poparła go kobieta.

- A co z grą? - przypomniał jej Goldberg.

- Dajmy spokój grze - zaproponował wszystkim Floyd. - Niech oni się tym pomartwią.

- Za późno - odezwała się Vanessa. - Idą. - Z obu stron korytarza dobiegły ich krzyki. - Jesteśmy w pułapce.

- To dobrze - ucieszył się Gomm.

- Jednak jesteś wariatem - Vanessa uznała, że nie warto już bawić się w grzeczności.

- Ciągłe możesz nas zabić - odparł z uśmiechem. Floyd chrząknął.

- Aż tak mi na wolności nie zależy - oznajmił.

- Zagroź im! Zagroź! - krzyknął Gomm. - Powiedz im, że jeśli spróbują cię zatrzymać, zabijesz nas.

Ireniya uśmiechnęła się szeroko. Zęby zostawiła w sypialni.

- Jest w tobie coś oprócz urody - powiedziała Gommowi.

- No jasne! - Floyd aż się cały rozpromienił. - Nie ośmielą się ryzykować nas! Będą musieli nas wypuścić.

- Zwariowaliście wszyscy - mruknął Goldberg. - Tam nikt już na nas nie czeka. - Wrócił do pokoju i trzasnął drzwiami. Ich huk nie zdążył nawet przebrzmieć, gdy mnóstwo strażników zablokowało korytarz z obu stron. Gomm złapał lufę karabinu Vanessy i podniósł ją na wysokość serca.

- Uważaj - powiedział i posłał jej całusa.

- Niech pani odłoży broń - odezwał się znajomy głos. Wśród tłumu gwardzistów objawił się pan Klein. - Proszę mi wierzyć, jesteście otoczeni.

- Zabiję ich wszystkich - głos Vanessy zabrzmiał bardzo niepewnie, a potem nabrał uczucia. - Ostrzegam was. Zdecydowałam się. Zabiję ich wszystkim nim wy zdążycie zabić mnie.

- Rozumiem - Klein mówił cicho, spokojnie. - A czemu przypuszcza pani, że mnie w ogóle obchodzi, co się stanie z tymi ludźmi? To wariaci. Mówiłem pani, to wszystko szaleńcy, zabójcy...

- Oboje wiemy, że pan kłamał - wyraz niepewności na twarzy Kleina dodał Vanessie odwagi. - Ma pan otworzyć bramę i włożyć kluczyki do stacyjki mojego samochodu. Jeśli postąpi pan głupio, panie Klein, zastrzelę zakładników, jednego po drugim. A teraz proszę wycofać stąd tych byczków i zrobić, co powiedziałam. ,

Pan Klein zawahał się, a później nakazał odwrót.

Oczy Gomma zabłyśły.

- Dobra robota - szepnął.

- Ty prowadź - podpowiedziała mu Vanessa. Gomm usłuchał jej rady i niewielka grupa poszła powolutku za nim, mijając po drodze wszystkie te telefony, zegary i monitory. Przy każdym kroku Vanessa spodziewała się usłyszeć strzał, ale pan Klein był najwyraźniej tak bardzo zatroskany o zdrowie starszych, że wolał nie wypróbować jej blefu. Na świeże powietrze wyszli bez szwanku.

Na zewnątrz dało się dostrzec strażników, mimo że bardzo się starali być niewidzialni. Vanessa nie spuszczała lufy wycelowanej w jej czterech jeńców. Mijali kolejne dziedzińce, zbliżając się do miejsca gdzie zaparkowano jej samochód. Brama stała otworem.

- Gomm - szepnęła Vanessa. - Otwórz drzwi.

Gomm otworzył drzwi. Mówił przedtem, że wszyscy skurczyli się ze starości i być może miał nawet rację, ale w małym pojeździe musiało się ich zmieścić pięcioro i było trochę ciasno. Vanessa wchodziła ostatnia. Skuliła się, by wślizgnąć się na fotel kierowcy i wtedy padł strzał. Kula ugodziła ją w bark. Karabin wypadł jej z dłoni.

- Sukinsyny! - krzyknął Gomm.

- Zostaw ją - pisnął ktoś cienko z wnętrza samochodu, ale Gomm już był na zewnątrz i wcisnął ją do środka, obok Floyda, po czym sam wskoczył za kierownicę i włączył silnik.

- Umiesz prowadzić? - dopytywała się Ireniya.

- Do cholery, jasne że umiem prowadzić! - odwarknął jej Gomm. Szarpiąc, z, przeraźliwym zgrzytem zmieniających biegów, samochód powoli wytoczył się za bramę.

Nigdy przedtem Vanessa nie była postrzelona. Miała tylko nadzieję, że -« oczywiście jeśli wyjdzie z tego cało - nigdy nie przeżyje podobnego doświadczenia. Rana na ramieniu krwawiła obficie; Floyd próbował zatamować krew, ale wyczyny Gomma za kierownicą praktycznie uniemożliwiały jakąkolwiek konstruktywną pomoc.

- Jest droga - zdołała wykrztusić Vanessa. - Jedź w tamtą stronę...

- Która strona to tamta strona? - wrzasnął rozpaczliwie Gomm.

- W prawo! W prawo!

Gomm zdjął obie ręce z kierownicy i przyjrzał się im uważnie.

- Która jest prawa?

-Na litość boską...

Z tylnego siedzenia wychyliła się Ireniya i położyła ręce Gomma z powrotem na kierownicy. Samochód wyciął hołubca, każdy wstrząs wyrывał jęk z ust Vanessy.

- Widzę! - wrzasnął Gomm. - Widzę drogę! - Poderwał samochód, przydeptując gaz do deski.

Niedomknięte tylne drzwi otworzyły się i Vanessa omal przez nie wypadła. Przechylając się przez Floyda, Mottershead szarpnął ją i wciągnął do środka, lecz nim zdołał zatrzasnąć drzwi spotkały się one z głazem umieszczonym przy zbiegu dwóch dróg i ze zgrzytem wyleciały z zawiasów.

- Robiło się duszno - stwierdził Gomm, nie popuszczając nogi z gazu.

Ciszę egejskiej nocy maćił warkot nie tylko jednego motoru. Za nimi rozbłysły światła. Ryk silnika oznajmił początek wścieklej pogoni. Karabin Guillemonta pozostał w klasztorze; uciekinierzy stracili jedyne go asa z rękawa i Klein dobrze o tym wiedział.

- Gazu! - Floyd uśmiechnął się szeroko. - Gonia nas!
- Szybciej się nie da - zapewnił Gomm.....
- Wyłącz światła - zaproponowała Ireniya. - Trudniej nas będzie trafić.
- Nie zobaczę drogi! - zaprotestował Gomm przekrzykując ryk silnika.
- Co? I tak po niej nie jedziesz!

Mottershead ryknął śmiechem. Vanessa zawtórowała mu, wbrew zdrowemu rozsądkowi. Być może utrata krwi stępiła jej instynkt samozachowawczy, ale nic nie mogła na to poradzić. Czterech Matuzalemów i ona sama jedzie oto sobie trzydrzwiowym samochodem przez noc, nie wiadomo dokąd: tylko szalenie mógłby to wziąć poważnie. Oto miała ostateczny, niepodważalny dowód, że ci ludzie nie byli szaleńcami, jak twierdził Klein - oni też dostrzegali komizm sytuacji! Gomm zaczął sobie nawet podśpiewywać za kierownicą: jakieś fragmenty z Verdiego i piskliwą wariację na temat "Over the Rainbow".

A jeśli - jak to jej podpowiadał coraz bardziej oszołomiony umysł - oni wszyscy byli tak normalni jak ona sama, to co z historyjką, którą opowiedział jej Gomm? Czy ta opowieść mogła być prawdziwa? Czy to możliwe, by ta trójka rozchichotanych prapradziadków powstrzymała Armageddon?

- Doganiają nas! - krzyknął Floyd, który klęczał na siedzeniu i patrzył przez tylną szybę.
- Nie damy rady - zauważył Mottershead nie przestając się śmiać. - Zginiemy wszyscy!
- Tam! - krzyknęła Ireniya. - Tam jest inna droga! Skręcaj! Skręcaj!

Gomm obrócił kierownicę i samochód, zjeżdżając w nową drogę, omal się nie przewrócił. Bez światel nic prawie nie widzieli, ale tak przyziemne problemy nie miały żadnego wpływu na wyczyny Gomma za kierownicą. Pompował gaz, aż silnik wył. Za samochodem wlokł się kłęb kurzu, pył wdzierał się przez wyrwane drzwi, przerażona koza prysnęła w bok dosłownie ocierając się o śmierć.

- Dokąd jedziemy! ? - krzyknęła Vanessa.
- Nie mam pojęcia! - odkrzyknął Gomm. - A ty?

Gdziekolwiek jechali, jechali szybko. Ta droga była równiejsza od poprzednie i kierowca w pełni to wykorzystywał. Znow zaczął śpiewać.

Mottershead wychylał się przez okno w ocalałych drzwiach, długie włosy powiewały mu na wietrze. Wypatrywał pogoni.

- Oddaliśmy się! - wrzeszczał tryumfalnie. - Oddaliśmy się!

Uciekinierów ogarnęło wspólne uniesienie i wszyscy zaczęli śpiewać) wraz z Gommem. Śpiewali tak głośno, że Gomm nie mógł usłyszeć ostrzeżenia Mottersheada; droga przed nimi wydawała się niknąć. W rzeczywistości profesor nie był nawet świadom, że samochód przeleciał przez krawędź klifu, dopóki maska nie wycelowała w dół i morze nie wyskoczyło im na spotkanie.

- Pani Japę? Pani Japę?

Vanessa budziła się wbrew własnej woli. Bolała ją głowa i ramię. Ostatnio zdarzyło się coś strasznego; minęło trochę czasu nim przypomniała sobie, co. Lecz pamięć wróciła jej w końcu. Wylatujący w powietrze samochód, krzyki, gdy uderzył w morze i zaczął tonąć. Zaledwie półprzytomna, zdołała się jednak wydostać; prawie nie zdawała sobie sprawy, że obok niej na powierzchni unosi się Floyd. Wołała go, ale nie odpowiedział. Zawołała znowu.

- Nie żyją - powiedział pan Klein - wszyscy nie żyją.

- O mój Boże - szepnęła. Patrzyła nie na twarz Kleina, lecz na plamę czekolady na jego kamizelce.

- Nie o nich teraz chodzi- powiedział Klein z naciskiem.

- Nie o nich?

- Mamy na głowie ważniejsze sprawy, pani Japę. Musi pani wstać, szybko. Napięcie w głosie Kleina poderwało Vanessę na równe nogi.

- Czy to rano? - zapytała. W tym pokoju nie było okien. Sądząc po betonowych ścianach, znajdowała się w buduarze.

- Tak, to rano - odparł niecierpliwie Klein. - Czy może pani teraz pójść ze mną? Chcę pani coś pokazać.

Otworzył drzwi, przez które wyszli na ponury korytarz. Gdzieś niedaleko toczyła się jakaś zażarta kłótnia; Vanessa słyszała mnóstwo podniesionych głosów, złorzeczących i błagalnych.

- Co się dzieje?

- Wprawka do apokalipsy - Klein wprowadził Vanessę do sali, w której ostatnio obserwowała damskie zapasy. Tym razem włączone były wszystkie monitory, a każdy pokazywał inne wnętrza: sale operacyjne, gabinety prezydentów, sejmy i senaty. Wszędzie wrzeszczeli ludzie.

- Była pani nieprzytomna przez dwa dni - stwierdził Klein, jakby chciał wyjaśnić sens tych wszystkich wrzasków. Vanessa poczuła łupanie w głowie. Rzuciła okiem na monitory, na Waszyngton i Hamburg, na Rio de Janeiro i Sydney. W każdym zakątku globu wielcy czekali na wieści. A wyrocznia opustoszała.

- To tylko aktorzy - powiedział Klein, wskazując na wrzeszczące postaci. - Nie panują nad niczym, już nie mówiąc o świecie. Dostają hysterii i świerzbią ich palce na guzikach.

- A co ja mam robić? - spytała Vanessa. Ta wieża Babel mocno ją przygnębiła. - Nie jestem strategiem.

- Gomm też nim nie był. I inni. Kiedyś może tak, ale to wszystko szybko się rozleciało.

- Degeneracja systemu?

- To dopiero cholerna prawda. Kiedy ja się tu znalazłem, połowa komitetu już nie żyła. A reszta miała swe obowiązki w nosie i... Ale dalej wydawali polecenia, jak twierdził Gomm?

- Tak, oczywiście.

- Rządzili światem?

-W pewnym sensie.

- Co to znaczy: "w pewnym sensie?"

Klein spojrział na monitory. W oczach miał łzy, niemal płakał.

- Nie wyjaśnił pani? Oni grali, pani Japę. Kiedy już znudził im się zdrowy rozsądek i dźwięk ich własnych głosów, przestali dyskutować i zaczęli rzucać monetą.

-Nie!

- Mieli, oczywiście, także wyścigi żab. To była ich ulubiona gra.

- Ale rządy... - zaprotestowała Vanessa - ...z pewnością rządy nie akceptowały...

- Pani myśli, że ich to coś obchodzi? - spytał Klein. - Byleby tylko wszystko działo się na oczach widowni, mają w nosie, kto im pisze teksty, po co i jak.

Vanessa poczuła zawrót głowy.

- Rachunek prawdopodobieństwa? - zapytała.

- A czemu nie? To bardzo szacowna tradycja. Decyzje podjęte wyrokiem boskim objawionym we flakach owcy obalały już przecież całe narody.

- To bez sensu.

- Zgoda, bez sensu, lecz pytam panią, pytam uczciwie, czy to rzeczywiście straszniejsze niż zostawić losy świata w ich rękach? - Klein wskazał na rzędy wściekłych twarzy. Demokraci drżeli z obawy, że jutro nie przyniesie im afer do ujawnienia i poklasku do zdobycia, tyrani ze strachu, że bez instrukcji wszystkie okrucieństwa wyjdą na jaw i obalą ich rządy. Pewien premier miał chyba atak astmy i słał się podtrzymywany przez dwóch doradców, inny celował w kamerę z rewolweru i domagał się zadośćuczynienia, a jeszcze inny żuł treskę.

Czyżby to były te najszlachetniejsze owoce politycznego drzewa' wiadomości dobrego i złego, ci bełkoczący, wrzeszczący, płaszcący się idioci, których do apopleksji doprowadzał brak instrukcji, zdalnego sterowania? Nie było wśród nich ani jednego, któremu Vanessa pozwoliłaby przeprowadzić się przez ulicę.

- Już lepsze żaby - mruknęła, choć była to gorzka konkluzja.

Po martwych światłach bunkra jasny blask słońca na dziedzińcu oślepił, lecz Vanessa była szczęśliwa, nie słysząc już panicznych wrzasków. Nowy i komitet pojawi się bardzo szybko, upewnił ją Klein kiedy wychodzili z bunkra; za parę tygodni równowaga światowa zostanie przywrócona. Lecz w międzyczasie te nieszczęsne stwory, które przed chwilą obserwowała, mogą roznieść ziemię na drzazgi. Instrukcji trzeba im było dostarczyć jak najszybciej.

- Goldberg ciągle żyje - tłumaczył Klein - i będzie grał, ale przecież potrzeba mu przeciwnika.

- Czemu nie pan?

- Bo on mnie nienawidzi. Nienawidzi nas wszystkich. Mówi, że tylko z panią może grać.

Goldberg siedział pod wawrzynem i układał pasjansa. Szło mu to powoli. Krótki wzrok zmuszał go do podnoszenia każdej karty pod same oczy i kiedy dochodził do końca rządka zapominał, co było na początku.

- Zgodziła się - oznajmił Klein. Goldberg dalej układał karty. - Zgodziła się!

- Jestem ślepy, nie głuchy - stwierdził Goldberg nie przerywając pracy i kiedy w końcu podniósł wzrok, patrzył na Vanesę. - Mówiłem, że to się źle skończy - powiedział cicho i Vanessa zrozumiała, że tym swoim fatalizmem maskował ostry ból spowodowany stratą przyjaciół. - Od początku mówiłem, że powinniśmy tu zostać. Bez sensu. Nie mieliśmy gdzie uciec. - Wzruszył ramionami i wrócił do kart. - Świat się zmienił. My go zmieniliśmy.

- To nie było takie straszne - powiedziała Vanessa.

- Co! Świat!?

- Ich śmierć.

- Aha.

- Dobrze się bawili. Aż do końca.

- Gomm był taki strasznie sentymentalny. Nie przepadaliśmy za sobą. Wielka żaba wyskoczyła tuż przed Vanesę. Goldberg dostrzegł ruch.

- Kto to? - zapytał.

- Kto, kto? - Stworzenie przyjrzało się Vanessie nieprzyjaźnie. - Ach, to tylko

żaba!

- Jak wygląda?

- Gruba. Na grzbiecie ma trzy plamki.

- Izrael - poinformował ją Goldberg. - Nie warto obstawiać.

- Czy zdążycie podjąć jakieś decyzje do południa? - wtrącił się Klein. - Chodzi szczególnie o sytuację w Zatoce Perskiej i dyskusje w Meksyku...

- Tak, tak, tak - przerwał mu Goldberg. - A teraz wynoś się pan stąd!

- Czekają nas kolejne Zatoka Świń...

- Nie mówi mi pan nic, czego i tak bym nie wiedział. Woni Stoi pan na drodze narodów - Goldberg znów zerknął na Vanessę. - No i co, będzie tu pani tak stała?

Vanessa usiadła.

- Zostawiam to wam - stwierdził pan Klein i wycofał się dyskretnie.

Goldberg zaczął wydawać t głębi gardła dziwne dźwięki podobne do kumkania. Żaby odpowiedziały mu ochoczo i zaczęły wylazić ze wszystkich zakątków dziedzińca. Słyszając kumkanie, Vanessa stłumiła śmiech. Już raz kiedyś powiedziała sobie, że farsę należy grać ze śmiertelną powagą, jakby wierzyło się w każde bzdurne słowo. Śmiech to domena tragedii, a tragedii, przy pomocy żab, mogą przecież jeszcze zapobiec.

Przełożył : Krzysztof Sokołowski